

# **Puste miejsce**

**Maciej Głowacki**

Pogorzelsko zajęło miejsce po leśnej chacie. Tam, gdzie wcześniej stały ściany, teraz było gruzowisko, z którego wystawały odłamki szyb i wykręcone kończyny leśnych dziadów. Zgliszcza przysypane świeżym śniegiem odznaczały się na polanie jak sterczący nagrobek, kurhan zapomnianego wojownika.

Drzewa szumiały wyjątkowo głośno, wyjący wiatr pchał ze sobą tumany białego puchu, który osadzał się na resztkach ogrodzenia i zaraz odlatywał dalej. Po niebie sunęły ołowiane chmury, zwiastując rychły zmierzch. Choć dni zaczęły być coraz dłuższe, to trzeba by poczekać całe tygodnie na zauważalną różnicę.

Na razie byłem tylko ja, biały śnieg, szare chmury i czarny popiół, choć nie wiem, z której strony tego łańcucha powinienem był się ustawić.

Dostrzegłem ruch kątem wizjera. Bez żywicznego filtra widziałem, jak sporych rozmiarów, ruda wiewiórka drepcze po śnieżnych pagórkach, szukając czegoś. Gdy zbliżyła się wystarczająco, dostrzegłem, że ma zdecydowanie za duży nos, o czterech nozdrzach, wystających na boki.

– Kici kici – zawołałem spod czaszki jelenia, wystawiając dłoń w grubej rękawiczce.

Zwierzę zdawało się wcale mnie nie bać, kto wie, może Cisi je dokarmiali? A może po prostu miało za mało rozumku, by się bać hałdy skór i poroża.

Gryzoń wskoczył mi na dłoń, a ja w zamian nasypałem mu suszonych nasion klonu, które nosiłem ze sobą w puzderku. Nigdy nie wiadomo, co się przyda.

Wiewiór zaczął szybko wgryzać się w pokarm, a ja spróbowałem delikatnie musnąć go palcami po grzbiecie.

Zniknął.

Poczułem natychmiastowo, jak ciężar na dłoni zelżał i jakby sama mi podskoczyła, nie spodziewając się braku oporu. Ostatnim co usłyszałem, był nagły, głośny świst.

Wtem zabrzmiało coś w rodzaju chrapnięcia konia i moim oczom ukazała się ta sama wiewiórka, obgryzając złapane nasionka dobre kilkanaście metrów dalej. Gryzoń spojrzął na mnie zagadkowo, poruszył nozdrzami, wciągnął naraz wielką objętość powietrza i ponownie zniknął z pola widzenia.

Przymknąłem jedno oko i tym, którego wizjer został kiedyś zalany żywicą, spostrzegłem, jak wiewiór kontynuuje jedzenie, ale na kompletnie innym piętrze Lasu.

– Sprytne stworzenie, prawda? – odezwał się głos za moimi plecami. – Bierze, co się da, po czym ucieka. Chcesz się od niego czegoś nauczyć?

Obróciłem się powoli i dostrzegłem niższego od siebie człowieka w porożu z czerwonymi wstążkami i wiankiem zasuszonych przebiśniegów. Przez plecy miał przewieszony łuk, spoczywający krzywo nad zielonkawym, brezentowym plecakiem.

– Śledziłaś mnie?

– Tropiłam, to dwie różne rzeczy. Chociaż jak mam być szczerą – sapnęła Lusia i stanęła obok mnie – to po prostu domyśliłam się, że tu będziesz. Łatwo jest tu dojść od wioski, zostawiłeś ślady na zamrzniętym jeziorze, ostatnio ciągle byłeś strasznym mrukiem, no i nie ma nikogo, do kogo mógłbyś pójść, więc...

– Rozumiem, załapałem, dobra robota.

– No i najważniejsze, że po prostu się o ciebie martwiłam – dodała po chwili. – Głupio tak urządzać pogrzeb w święta.

– Macie na to jakiś specjalny rytuał? Najpierw zrzucacie zwłoki do dołu, przysypujecie igłami, a potem składacie sobie życzenia?

– A potem jemy dzieci, jak zawsze oczywiście – dodała sarkastycznie. – Jesteś strasznie złośliwy, co cię męczy?

Obejrzałem się jeszcze raz na ruinę po domu Pnia i przysiadłem w śniegu. Przez moment naprawdę liczyłem, że stanie się coś niezwykłego, że któryś z leśnych dziadów wstanie albo Pień wyjdzie spod gruzowiska, gdzie zahibernował się do wiosny.

– Liczyłem na to, że tu będzie. Tak po prostu, chciałem go jeszcze raz zobaczyć, nawet nie mieliśmy okazji się pożegnać. Tylko niestety nie na wszystko są Pożytki, nie ma rytuału, by go ściągnąć do nas, prawda? Nie ma go na innym piętrze i już zapewne nigdy go nie zobaczę.

– Cóż, to samo można powiedzieć o Zającu. Nie zrozum mnie źle, mam przez to na myśli, że zawsze jest jakiś cień szansy. – Lusia przez moment patrzyła się w pustkę i w końcu przysiadła obok mnie, by pogrzebać w plecaku.

– Chciałbym mieć do kogo wrócić i tyle. A jak pomyślę jeszcze o tym, ile rodzin przeze mnie spędzi ten czas w niepełnym gronie i będzie do końca życia obwiniać mnie to... Po prostu sam się obwiniam za to wszystko.

Wiatr przestał wiać na moment i Las uspokoił się nieco. Płatki śniegu opadały nieśpiesznie, swoim tempem w niemalże pionowych kolumnach. Dało się słyszeć niosące się z daleka nawoływania dzikich stad.

– Może to ci pomoże – szepnęła Lusia, podając mi związany rzemyk z białą, smukłą szyszką o niebieskich wypustkach.

– To jakiś amulet ochronny? – spytałem bez przekonania.

– Tak, przed samotnością – powiedziała, przytulając mnie nagle. – Wesołych świąt.  
– Wesołych świąt Lusiu. – Uśmiechnąłem się pod maską sam do siebie. – Wracajmy do domu, tu będzie tylko zimniej.